

Rafał A. Ziemkiewicz
W południe
Słońce ziemią kołysze
Chmury z nieba wytarło

Kazimierz Grześkowiak

W taki upał zaczynać dzień od piwa to może nie był najlepszy pomysł. Ale Jacek obiecał sobie: tylko jedno. Jedno mu nie zaszkodzi. Zanim zrobi się naprawdę gorąco, dawno je zdąży przetrawić. Zresztą nie będzie się przecież prażył na słońcu. Najwyżej przejdzie parę razy wzdłuż brzegu, zamoczy nogi w morzu, obejrzy dzisiejszy towar i tyle.

Oczywiście to wszystko dopiero wtedy, kiedy Ona sobie pójdzie. Pewnie już poszła, tylko krzaki zasłaniają.

Nie chciało mu się tego sprawdzać.

Nie chciało mu się w ogóle nic. Zwłaszcza ruszać choćby na krok od swego stolika. I przecież, powtarzał sobie, nie musi. Jest na wakacjach. Może spokojnie siedzieć tutaj, jak długo będzie chciał, na górującym nad plażą niewielkim wzgórk, koło rachitycznych drzewek, od których przy odrobinie dobrej woli daje się nawet wyczuć coś w rodzaju lekkiego powiewu. Nie żeby zaraz dech lasu, chłodny cień, ale na pewno jest odrobinę przyjemniej. A gdyby przypadkiem pojawiła się jakaś kobieta godna zachodu, stąd też ją wypatrzy.

Piwo było zimne, ale, jak zwykle w knajpie, wodniste. Chrzczą, sukinsyny. Co za kraj, na każdym kroku cię orzynają. Takie rozwodnione piwo to jakby pół prawdziwego, dość, żeby ten leciutki, kojący nerwy szmerek się pojawił, ale zdecydowanie za mało, żeby pozostał dłużej. Więc drugie piwo właściwie nie było drugim, tylko dalszym ciągiem pierwszego, uzupełnieniem, niezbędnym, bo bez niego w ogóle nie miałyby sensu zaczynanie picia. Co wiodło do logicznego wniosku, że trzecie było dopiero pierwszą połówką drugiego.

I tyle już wystarczy, przynajmniej na jakiś czas, przypomniał o sobie głos rozsądku. Był cichutki, ale argumentował sprytnie: a jeżeli Ona przyjdzie tutaj po coś do picia, a ty akurat będziesz przysypiał i przelewał się jak wór? Pod wpływem takiej wizji Jacek zachwiał się w postanowieniu nabycia czwartej szklanicy, choć podchodził już do baru, nad którym piwny kranik sterczał niczym szyja złotego łabędzia prującego tafłę pociągniętego bezbarwnym lakierem drewna. Przeszedł mimo. Postanowił nagle: opuści na razie okalającą stoliki zagrodę z kombinacji czarnych metalowych prętów i wypalanych w ludowe wzorki deseczek, zejdzie łagodnym, kilkumetrowym stokiem na plażę i po drodze do morza przejdzie koło Niej. Nie będzie jej zaczepiać, bez przesady, po prostu przejdzie blisko i popatrzy przez chwilę.

Zrobił już nawet kilka kroków w tamtą stronę. Potem przystanął niepewnie. A potem zawrócił.

Po namyśle kazał sobie nalać czwarte piwo w plastik i zabrał je ze sobą. Ale nie odszedł daleko. W miejscu, gdzie udeptane klepisko przechodziło w plażę, jakoś opuściła go chęć, żeby tam leżąc, grzęznąć w kopnym, coraz mocniej rozgrzanym piachu.

To przecież było żałosne i głupie. Taka laska i tak nie zwróci na niego uwagi. Z równymi szansami powodzenia mógłby próbować zainteresować sobą gwiazdę filmową z rozkładówki kolorowego magazynu.

Spacerował po kilka kroków w jedną stronę, kilka w drugą, sącąc z plastiku, i starając się nie odwracać w jej stronę, przyglądał się coraz gęstszy tłumowi. Nie, dzisiaj wypatrywanie w nim kogoś, do kogo warto by wystartować, było zdecydowanie daremne. Jakieś emerytki, parę małolat, każda w wianuszkach porykujących głupawo rówieśników, no i mamuśki z bachorami. Tych ostatnich najwięcej. A może tylko najbardziej go one wkurzały.

W końcu pozwolił sobie, a może stało się to jakoś bezwiednie, rzucić szybkie spojrzenie w stronę morza. Była tam nadal. Płowowłosa piękność opalająca się samotnie na wygodnej, rozkładanej leżance, z kolorowym parawanikiem i szklanką jakiegoś napoju pod ręką. Wciąż tak samo jak rano, kiedy mijał ją, nadchodząc brzegiem. Zgrabna, młoda blondynka, prawie naga w skąnym bikini, wyglądała tak, że na jej widok aż coś Jacka rozboleło. To właśnie przez nią skręcił do kawiarnianego ogródka i postanowił zacząć dzień od piwa. Nie pasowała do tego miejsca. Pasowała do jakiejś Ibizy czy Florydy, tutaj — co w ogóle tutaj robiła? Tylko raniła człowiekowi serce. Na taką dziewczynę to on może sobie tylko popatrzeć. Przyłapał się na marzeniu, żeby podejść i o cokolwiek ją zapytać, bez jakiegokolwiek nadziei, po prostu żeby z nią przez chwilę porozmawiać. Ale przecież natychmiast wyrósłby spod ziemi jakiś wysportowany goryl w slipach wartych całą pensyjkę Jacka. Jakiś biznesmen. Albo raczej sławny aktor czy piosenkarz.

Po diabła przyniosło ją tu z jakiegoś żurnala, po co mu wlaźła w oczy? Żeby jeszcze wyraźniej, z bezsilną wściekłością dostrzeżał teraz te wszystkie otaczające go plażowe mamusie? O, choćby ta, która usadziła się przy samym wejściu do piwnego ogródka nakarmić swoją pociechę frytkami — przyglądał się z wściekłością, jak przez kilka minut, z taką starannością, jakby zależało od tego życie jej samej i potomka, polerowała widelec kolejnymi składanymi i rozkładanymi papierowymi serwetkami. Jakże dobrze znał ten gest: och, w takim miejscu na pewno nie myją sztućców jak należy. No proszę, frytki zupełnie zimne. I nierówno obsmażone. Olej nieświeży. Ketchup pełen konserwantów — i tak dalej. Ależ masz przechlapane, chłopczyku, że twój tatuś zrobił cię akurat tej pani.

Poczuł nagle przejmującą chęć, żeby uciekać jak najdalej od tej plaży, jak najdalej od zjawiskowej blondynki i od wszystkich tych ludzi, którzy wyglądali przez Nią jeszcze gorzej niż na co dzień, uciekać z palącego słońca, na którym prażyły się zgliszczą zwiędłych bab i obwisłych facetów. No pewnie. Świetny pomysł. Kochanie, to ja! Tak się za tobą stęskniłem, że postanowiłem zostawić Stasia i wrócić wcześniej. Ach, pobądźmy ze sobą te parę dni, jakie mi zostały, zanim znowu będę się musiał zaprząć do kieratu. Po wszystkim, co musiał naściemniać, żeby się tu urwać, tak sobie nagle wróci, bo zmienacka go naszło...

Wzruszył ramionami, chlusnął resztką piwa na piasek i rzucił zmięty kubek do pojemnika. Do licha ze wszystkim. Ma taki przyjemny stolik pod sosenką, a kręci się jak durny, aż ktoś mu go zajmie.

Facecik nalewający piwo tak się zaczytał, że Jacek musiał zwrócić na siebie uwagę pochrząkiwaniem i stukaniem w świeżo wylakierowany bar. Zupełny szczeniak, pewnie jakiś dorabiający sobie uczeń albo student, a już się wyuczył, jak zręcznym ruchem wzburzyć pianę, żeby nalać o ten centymetr mniej. Niby nic, ale przez cały dzień zbierze z tego, czego nie dolał, parę dodatkowych złotych. Przez chwilę Jacek rozważał, czy nie zaprotestować. A, pies go trącał, ich wszystkich, w końcu nie przyjechał się tu użerać. Przyjechał złapać oddech. Rozpaczliwie potrzebował złapania oddechu i miał na to tylko te parę dni. Przyjął bez słowa szklankę i zapłacił.

„Słońce ziemią kołysze, chmury z nieba wytarło...” — śpiewało radio. Jacek też kiedyś śpiewał. I grał na gitarze. Kto wtedy nie śpiewał i nie próbował grać na gitarze? Tylko tamtemu akurat się udało. A co takiego miał, czego Jackowi zabrakło? Farta. Bo przecież grali wszyscy mniej więcej tak samo, te same pięć chwytów na krzyż, byle szybko, byle wykrzyzczyć coś przeciwko wojnie i bombie atomowej. Trzy akordy, darcie mordy — ale nikomu to nie przeszkadzało. Laski się wtedy garnęły do faceta z gitarą, że szuflą nagarniać. Nawet takie jak Ona. Mógł, frajer, nabrać się ich wtedy na całe życie, tylko akurat — od razu ta wpadka, ekspresowy ślub, wrzeszczące dziecko i ciągła pogoń za chałturami, żeby na wszystko nastarczyć... I zanim jakoś się wreszcie poukładało, czas minął. Kobiety już na niego nie lecą same z siebie. Z roku na rok musi się coraz bardziej nagimnastykować i nagadać, zanim wreszcie któraś pozwoli mu się zabrać do rzeczy.

Spokojnie, nie będzie źle. Świat, na szczęście, nie składa się tylko z nieprzystępnych piękności. Także z kobiet, które potrafią się ucieszyć z trafionej okazji i ją docenić. Nic na siłę, nic nerwowo. Przecież po to właśnie zawsze przyjeżdżał na piątek, żeby nie musieć się spieszyć, żeby mieć ten pierwszy dzień na złapanie luzu. Dzisiaj niczego nie musi. Dzisiaj sobie strzeli piwko, podrzemie, pod wieczór posnuje się trochę po okolicy, może popuka na flipperach w salonie przy rynku. Ten dzień ma służyć tylko wejściu w wakacyjny rytm. Jutro z nowym turnusem na plażę trafi nowa dostawa cudzych żon, które tak jak on urwały się na paręnaście dni poszukać przygód. Nie ma obawy, żeby czegoś w końcu nie wyhaczył. Jutro. A dziś — wyluzować się, postanowił ostatecznie, ruszając w stronę swojego stolika pod sosną.

Zbliżało się południe, upał musiał narastać stopniowo już od dłuższego czasu, ale Jacek uświadomił to sobie dopiero teraz. Jak gdyby ktoś nagle skierował na niego snop gorąca.

Nie miał pojęcia, jak i kiedy mogła niepostrzeżenie przejść obok niego. Musiała przecież kilka razy przeciąć mu pole widzenia, wchodząc do ogródka, biorąc od zaczytanego barmana piwo, które teraz stało przed nią w oszronionej szklance. Ale tak czy owak, siedziała przy jego stoliku.

— Bardzo przepraszam — powiedział, zdając sobie niejasno sprawę, że to fatalny początek rozmowy. Od tak wielu lat nie czuł się równie onieśmielony, że w ogóle zapomniał, co znaczy się tak czuć. — Przepraszam... Ja to miejsce zająłem.

— Tak, wiem. Ale... — uniosła na niego jasne, bezbrzeżnie niewinne spojrzenie — przecież dla mnie?

— Oczywiście, dla pani... To znaczy dla ciebie... Cześć. Jestem Jacek.

— No przecież — zaśmiała się. — Jacek Pijacek. Przecież cię znam, doskonale cię znam.

Trochę mu szumiało w głowie, ale nie aż tak. Jasna cholera, nie mógł nigdy w życiu poznać takiej laski i jej nie zapamiętać. Nie ma takich ilości alkoholu. Powiedziała na niego Pijacek, więc musiała go znać ze szkoły, to tam go tak przezywali. Wcale nie dlatego, żeby jakoś szczególnie pił. Po prostu — imię i pierwsza sylaba nazwiska, Jacek Pi, czyli Pi-jacek. No tak, to było już tyle lat temu, że miał prawo zapomnieć.

Ale ona nie mogła mieć czterdziestki. Może już nie dwadzieścia, ale na pewno poniżej trzydziestu. Gdyby musiał się zakładać, obstawiłby dwadzieścia cztery. No, pięć, ale to już góra. I nie mógł sobie przypomnieć wśród szkolnych koleżanek żadnej, która by ją choć odrobinę przypominała. Co za cholera, jakieś szkolne brzydkie kaczątko, kopciuszek, na które nikt wtedy nie zwracał uwagi, a teraz doszła do pieniędzy i narobiła sobie operacji jak gwiazda Hollywood?

Ale co, zapytać tak wprost, skąd go może znać? Na kogo by wtedy wyszedł?

— Ach, no tak — brnął. Wykrzywił się w grymasie mającym pokazać, że jest zażenowany własnym roztargnieniem, ale też jednocześnie, że już sobie, naturalnie, przypomniał. No, prawie sobie przypomniał. Oczywiście doskonale wie, z kim rozmawia, już ma właściwe imię na końcu języka, no, tylko...

Musiała mieć z niego niezły ubaw.

— Tak, kojarzę, tylko... — dał wreszcie za wygraną — przepraszam cię bardzo, przypomnij mi...

— Nie — najwyraźniej miała ochotę się poprzekomarzać. — Nie przypomnę.

Właściwie — dobrze. Doskonale. Już mają coś wspólnego: tajemnicę do wyjaśnienia. Jest o czym rozmawiać. Wcale mu nie zaszkodziło te parę piw, może i czuje się odrobinę ociężały, ale za to od razu zyskał na śmiałości.

— Dobrze, piękna znajoma — musiał upić jeszcze łyk, w gardle miał sucho, jakby od rana ani kropli. — Tylko nie mów na mnie „Pijacek”. Nigdy tego nie znosiłem.

— Lepsze niż Kelner — rzuciła wesoło.

O cholera, a to skąd mogła znać? Tak na niego mówili w robocie. Nie w oczy, rzecz jasna. Że niby co szefostwo sobie zażyczy, to on przynosi. Głupie świnię, co oni tam wiedzieli. Ale ona chyba nie ma nic wspólnego z jego pracą? To by było fatalne. A już się napalił...

Z pewnym trudem, ale zapanował nad twarzą i nie dał po sobie nic poznać. Zaraz się wszystko wyjaśni, dojdą do tego. Na razie trzeba bajerować.

— No to wreszcie wiem, po co tu przyjechałem. Cały rano się zastanawiałem, a teraz wreszcie wiem: po to, żeby cię spotkać.

Skinęła zachęcająco głową i przez chwilę wydało mu się — te pszeniczne włosy, rozmarzony wzrok, delikatny, jakby lekko drwiący uśmiech na pełnych wargach... Tak, rzeczywiście, szkoła. Dziewczyna, do której nigdy nie miał odwagi się zbliżyć, marzył tylko. Ale nie, tamta przecież była jeszcze starsza od niego. I nigdy nie zwróciła na niego uwagi, niby zresztą po co. Nie, to nie mogła być ona. Nie była wcale podobna. Tak tylko mu się wydawało przez moment.

— To świetnie się składa. Bo ja też po to. Po ciebie.

— Pierwszy raz, prawda? Ja tu jestem co roku. Wiesz, dzisiaj mało kto jeździ nad polskie morze, nad Śródziemnym czy na Karaibach wcale nie jest drożej, a hotele na błysk, all inclusive i pogoda gwarantowana. Ale ja jakoś lubię być w kraju...

Westchnęła.

— Daruj sobie. Przyjeżdżasz akurat tutaj, bo możesz powiedzieć żonie, że zabierasz na wakacje swojego synka z pierwszego małżeństwa. Tak naprawdę on cię ma gdzieś i wcale nie chce spędzać z tobą wakacji. Potrzebuje od ciebie tylko kasy i tego, żebyś go krył przed jego starą, to on będzie krył ciebie przed swoją. Dwóch krętaczy, stary i młody.

Przez długą chwilę nie mógł znaleźć odpowiedzi.

— Zgadza się — przyznał w końcu z rezygnacją, czując, jak uchodzi z niego energia, a wraca ociężałość. — Inaczej żona by mnie nie puściła. Tylko ten jeden argument do niej przemawia. Te dwa tygodnie w roku są święte, bo je spędzam z synem.

— Zastanawiałeś się kiedyś...

Jak na zamówienie, w pobliżu rozległ się przeraźliwy wrzask dziecka i przebijający się ponad niego kobiecy jazgot. Oboje spojrzeli w tamtą stronę. Mamuśka od polerowania sztucców ciągnęła gdzieś swojego chłopczyka, jakby chciała mu wyrwać rączkę, obrzucając go przy tym stekiem histerycznych pretensji.

— Zupełnie tak samo jak twoja eks — zauważyła. — Wystarczyło spojrzeć, co wyrabiała z tym widelcem... Tak, no więc czy zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego ciągle musisz być terroryzowany przez jakąś kobietę? Powiedzmy, że za pierwszym razem to była wpadka. Ale za drugim? Dobrze wiedziałeś, w co się pakujesz. A teraz się poniżasz i ściemniasz, żeby urwać się na dwa tygodnie i zaszaleć z jakąś przygodną. Nie musi być piękna, już dawno spuściłeś z ambicji, byle chciała, i byle rozumiała, że wakacje to wakacje, i nie próbowała potem o sobie przypominać. To jest dla ciebie najważniejsze. Nawet ze mną nie odważyłbyś się przespać, dopóki sobie nie obiecamy: żadnych konsekwencji, żadnych zobowiązań.

— Skoro tak dobrze znasz moje myśli, to po co pytasz?

— To żaden problem znać twoje myśli. Wszyscy jesteście tacy sami, do obrzydzenia tacy sami, aż mi się czasem was odechciewa. Wszystko się może na świecie zmienić, tylko wy się nie zmieniacie. Dobrze, chcesz, wyjaśnię ci: wiesz, dlaczego zawsze musisz się bać jakiejś kobiety? Bo tak ci jest wygodnie. Niech ona się o wszystko martwi, o całe życie. A ty tylko będziesz słuchał. I od czasu do czasu ją zdradzał, jeśli się uda to zrobić bezkarnie. Posłuchaj, ze mną tak nie będzie. Jeśli chcesz ze mną pójść, to musisz chcieć, żeby wszystko się zmieniło.

Wzruszył ramionami.

— Ja cię nie zaczepiałem.

— Wiele razy. Tylko sobie z tego nie zdawałeś sprawy.

— Nie zaczepiałem cię. W ogóle nie wiem, skąd mnie znasz. Zająłś moje miejsce. Bo to jest mój stolik. Siedzę sobie tutaj, piję piwo i czekam na jakąś znudzoną żonę, która wyrwała się na dwa tygodnie, żeby z kimś poszaleć, pod warunkiem, że uda się to zrobić bez żadnych konsekwencji. Bo jestem śmieszny, starzejący się mężczyzna, którego nie stać na nic więcej niż drobne zdrady.

— Zdobał się na właściwe słowa — uśmiechnęła się. — Powiedz: jestem życiowym nieudacznikiem i dupkiem...

— Niech ci będzie, że jestem. Jestem zupełnie nie na twoim poziomie. Więc czego ode mnie chcesz, czego się przyczepiłaś?! Znajdź sobie prawdziwego mężczyznę, a ja sobie znajdę coś na swoje potrzeby. Nie jestem przesadnie ambitny. Idź sobie stąd, rozumiesz, daj mi święty spokój, zostaw mnie!

Piwny ogródek, wcześniej pustawy, nagle okazał się pełen ludzi. I wszyscy ci ludzie oglądali się na niego.

Zawstydzony skupił się na piwie. Było już ciepłe i niesmaczne, ale dopijał je z namaszczeniem, małymi łykami, żeby jak najdłużej nie podnosić wzroku. Dziewczyna podniosła się od stołu i odeszła. Nie widział tego. Czuł.

— Wszystko w porządku? — pytał chłopak zza baru, nachylając się przez stół.

— W porządku — powiedział ciężkim, smutnym głosem. — Niech pan da jeszcze jedno.

— Wie pan, może już wystarczy. Ten upał...

— Niech pan da zimne. No, niech pan da piwo. Jeszcze jedno piwo.

Bardzo potrzebował jeszcze jednego piwa. Zimnego i oszronionego. Takiego właśnie, jakie po długiej chwili postawił przed nim barman.

— Nie widział pan, dokąd ona poszła? W którą stronę?

— Kto?

— Ta dziewczyna. Ta, która tu siedziała. Taka... — nie wiedział, jak ją opisać. — Taka słowiańska uroda, jasne włosy...

— Nie wiem. Nie widziałem nikogo. Wszystko z panem w porządku?

— W porządku, w porządku... — Upił długi, chłodny łyk, ale nawet to nie przyniosło mu ulgi. — Widzi pan, jakie one są? Przyczepi się taka i w oczy człowiekowi...

— Tak — mruknął chłopak niepewnie.

— Co ona myśli, że ja bym nie chciał inaczej? Tak mi się to życie poukładało. Łatwo się mądrzyć, jak się jest taką... taką...

Barmana już nie było. Jacek zwiesił głowę. Pił. Taka dziewczyna, rozczulił się nagle, taka dziewczyna... Słońce ziemią kołysze, chmury z nieba wytarło...

Niech pan wyłączy tę muzykę, krzyknął w stronę barmana, pan wyłączy, no, tamten odwrócił się ze zdziwieniem w oczach, ale Jacek już nie zwracał na niego uwagi. Taka dziewczyna, a ty, idioto, mówisz jej, żeby sobie poszła. I dlaczego? Nieprawdę powiedziała? Nie jesteś niby nieudacznik i dupek? Przecież jesteś. Jesteś, powtórzył ponuro, żadne odkrycie. Tak się do tego przyzwyczaiłeś, że przestało ci doskwierać.

Dokąd ona mogła pójść? Uniósł się z trudem, zatoczył, ktoś zaprotestował gniewnie albo zaklął, tego Jacek nie odnotował. Ruszył przed siebie, na rozstłonecznioną plażę. Może już nikogo innego na niej nie było, wszyscy gdzieś zniknęli — a może tylko przestał ich zauważać. Ściągnął z trudem sandały i zanurzył stopy w rozpalonym piasku. Nie mogła odejść daleko.

Nie odeszła. Była tam, gdzie ją pierwszy raz zobaczył. Ozłocona słońcem, w skąnym bikini i modnych okularach przeciwsłonecznych, wyciągnięta w kuszącej pozie.

— To wszystko miało być zupełnie inaczej — wydobył ze ściśniętego gardła, osuwając się na kolana. — Zupełnie inaczej. Wiesz?

— Wiem. Przecież mówiłam, że cię dobrze znam.

— Nie wiem skąd. Nie wiem, skąd mnie znasz...

— A czy to ważne?

— Nieważne. — Słońce paliło niemiłosiernie głowę i pochylony kark, ale za nic by się teraz nie ruszył szukać cienia. Było mu nieopisanie przyjemnie klęczeć przy niej, wpatrywać się w morze i mówić. Mówić cokolwiek. — Nie wiem, dlaczego tak się wszystko poukładało. Zawsze chciałem dobrze. A wyszło...

— Czegoś zabrakło — podpowiedziała.

— Ale nie wiem czego. Milczała.

— Ty wiesz? Szum morza.

— Wiesz, co myślę? Że nie dostałem od życia swojej szansy. Tak, po prostu nie dostałem szansy. Wszystko się zdarzyło albo za wcześniej, albo za późno. Tak — zapalał się powoli do tego, co mówił. — Zobacz, na przykład z zespołem. Nie byłem najlepszy, oczywiście, ale wcale nie gorszy od wielu innych. Tylko oni zaczęli parę lat wcześniej i zajęli cały rynek, rozepchali się na nim i tacy jak ja już nie mieli przestrzeni, żeby się rozwinąć. Bo się urodziłem o kilka lat za późno. A potem z kolei, z pracą, odwrotnie, kiedy się zmienił ustrój i coś można było sensownego zdziałać, wszyscy chcieli jak najmłodszych, wszystkie zagraniczne staże, szkolenia to było dla nich, a ja się już nie łapałem, bo się urodziłem te kilka lat za późno...

— Nie odpowiadała.

— Nudny jestem? — zapytał.

— Trochę tak. — Uniosła się na leżaku, obracając lekko w jego stronę. — Ale co poradzić, tacy po prostu jesteście. Zawsze winien jest ktoś inny. Wszyscy są winni, tylko nie ty. Nawet w takiej chwili potrafisz mieć wyłącznie pretensje do losu.

— Nie mam pretensji — mruknął bez przekonania. — Pewnie mogło być gorzej. Może mogło być lepiej. Może jeszcze będzie. Potrzebuję tylko odpocząć. Strasznie potrzebuję odpoczynku. Oderwać się od tego, złapać oddech... I wtedy wszystko zmienię. Chciałbym jeszcze wszystko zmienić. Wiesz? Chcę, żeby wszystko się zmieniło.

— Wiem — uśmiechnęła się, unosząc lekko okulary. Mimo jaskrawego słońca nie mrużyła oczu. — Przecież inaczej bym po ciebie nie przyszła.

A potem tym szczególnym, niepowtarzalnym szeptem, który kobiety zachowują do wypowiedzania tylko tego jednego słowa, rzuciła:

— Chodź.

* * *

— Niech pan sobie nie robi wyrzutów — pocieszał bez zapału policjant. — Naprawdę, to nie pańska wina.

— Nie powinienem mu podawać tego ostatniego piwa. Coś mi mówiło, że ma dosyć, ale jakoś... — powtarzał roztrzęsiony chłopak. — Nie powinienem...

— Daj pan spokój. — Policjant bez emocji przyjrzał się leżącemu, którego twarz zasłonił przed cisnącymi się wokół gapiami białą serwetą. — Szwagier, doktor, zawsze mówi, że kogo ma trafić, to trafi, czy akurat pije czy pości. Przynajmniej się dzięki temu pańskiemu piwu znieczulił. Widziałeś pan, jak się uśmiecha?

Barman otrząsnął się energicznie, gestem: „co pan, przyglądać się trupowi, nigdy w życiu”.

— Od rana się znieczulał — powiedział. — Ale kto by mógł przypuszczać? No, dziwnie się zachowywał. Ale myślałem, że tak go po prostu rozebrało na słońcu. A potem nagle wstał, zakręciło go, o, pan popatrzy, piwo gościowi rozlał, i leży. I koniec. Kurna, kto by mógł...

— Ano przyjechał sobie chłopina trochę odsapnąć i tu go dopadło... Coraz więcej takich. Orzą w człowieka, orzą, aż w końcu nie wytrzyma... — Policjant odwrócił się do gapiów. — No dobrze już, dobrze, proszę się tam rozsunać. Proszę bardzo, droga dla lekarza!

Gapie rozstąpili się niechętnie przed podjeżdżającą do ogrodzenia karetką. Trzasnęły drzwiczki, do leżącego podszedł lekarz, pochylił się, chwycił za puls.

— Zgon — rzucił oschle. Dopiero wtedy delikatnie odsunął zasłaniającą twarz denata serwetę.

Policjant miał rację. Jacek się uśmiechał.

2005